



Mirosław Derecki

EKRAN I WIDZ: SZALEŃSTWO WOJNY

Przez trzydzieści lat walory „Mostu na rzece Kwai” Davida Leana mogliśmy ocenić jedynie na podstawie... słynnej melodii z tego filmu, która sama już stała się światowym przebojem. „Przejściowe trudności” sprawiały bowiem wciąż, że nie mogliśmy jakoby pozwolić sobie na zakup kinowej licencji. Wprawdzie pokazano kiedyś „Most na rzece Kwai” na ekranie telewizyjnym w ramach cyklicznego przeglądu kina światowego, ale prezentowanie przez telewizję tego rodzaju wielkich widowisk filmowych właściwie zupełnie mija się z celem. To tak, jak oglądanie i ocenianie „Królowy Śnieżki” Walta Disneya przekopowanej z barwnej taśmy na czarno-białą, a potem wyrażanie zdumienia, co właściwie takiego zachwyca dziecięcą publiczność w tym szarym ponurym filmie...

„Most na rzece Kwai” został nakręcony z myślą o kinowej rewelacji lat pięćdziesiątych - szerokim ekranie oraz z wykorzystaniem najlepszej, najnowocześniejszej wówczas techniki filmowej. Począwszy od dających niezwykle możliwości zdjęciowe, nowych kamer, a na barwnej taśmie skończywszy. Jedną z jego podstawowych cech jest widowiskowość, o co zadbali: scenograf Donald M Ashton oraz operator Jack Hildyard, (którzy wspaniale plenery „Mostu na rzece Kwai” kręcili w dżunglach i wśród gór Cejlonu) A także - umiejętność operowania wielką masą statystów w sposób na tyle doskonały, aby stanowiła ona wiarygodne tło dla zasadniczego wątku dramaturgicznego. I to już zasługa całej ekipy realizatorskiej.

Epicka opowieść o obozie wojennych jeńców brytyjskich, wziętych do niewoli przez Japończyków podczas walk na Malajach na początku lat czterdziestych i zmuszanych do budowy strategicznej linii kolejowej wiodącej poprzez dziewiczą dżunglę z Tajlandii ku Birmie, była w latach pięćdziesiątych odwołaniem się do wciąż żywej na świecie pamięci o okrucieństwach drugiej wojny światowej. To tutaj właśnie, nad rzeką Kwai, niedaleko od Bangkoku, zmarło z wycieńczenia, głodu, fatalnych warunków obozowych oraz z powodu tropikalnych chorób kilkanaście tysięcy Brytyjczyków więzionych przez żołnierzy Mikada w warunkach urągających każdemu z punktów Konwencji Genewskiej. Istnieje rzeka Kwai, został istotnie zbudowany ponad nią rękami jeńców w niezwykle prymitywnych warunkach, most kolejowy i do tej pory istnieje też przy linii kolejowej rozległy jeniecki cmentarz. Inna

sprawa, że fakty przedstawiały się nieco inaczej niż w filmie, opartym na odwołującej się tylko do autentyku powieści Pierre Boulle'a. Rzeczywistość nad rzeką Kwai w latach 1943-1945 była o wiele mniej barwna i o wiele bardziej tragiczna niż w „Moście na rzece Kwai”.

W 1957 r. film Davida Leana był światową rewelacją, otrzymał aż siedem Oscarów. Jeden z nich przypadł rewelacyjnemu Alecowi Guinnessowi za rolę dowódcy wziętego do niewoli brytyjskiego batalionu pułkownika Nicholsona

Czy w ciągu trzydziestu lat „Most na rzece Kwai” nie zestarzał się? Czy dzisiaj, dla współczesnej, zupełnie innej niż przed laty publiczności, grany w zupełnie innej epoce, dla innego pokolenia, nie jawi się on jako efektowna, stara, przyblakła fotografia? Czy potrafił sprostać dzisiejszym wyobrażeniom o dobrym kinie przygodowo-widowiskowym?

Zaskakujące, ale jest „Most na rzece Kwai” dzisiaj dla widza filmem równie rewelacyjnym, co przed trzema dziesiątkami lat! Więcej: jest filmem przewyższającym wiele współcześnie kręconych filmów o podobnej tematyce. Obrazem, który - co się rzadko w kinie zdarza - zachował pełnię młodości.

Może zawdzięcza to „Most na rzece Kwai” nie tylko - lub nie tyle - swej widowiskowości oraz wątkowi sensacyjnemu (równocześnie z postępującą budową mostu, którego terminowe zbudowanie jest ambicją jeńców, rozwija się „z zewnątrz” akcja brytyjskich komandosów, mających zniszczyć most w momencie wjechania nań pierwszego pociągu), co swym głębokim walorom humanistycznym, filozoficznej zadumie reżysera nad kondycją człowieka.

Davidowi Leanowi udało się w sposób doskonały połączyć widowiskowość i przygodowość filmu (relacją o niezwykłych perypetiach jego bohaterów, obozowych więźniów oraz zdążających do wykonania swego zadania komandosów) z opowieścią o niezłomności ludzkiej, o wierności moralnym zasadom, o poczuciu odpowiedzialności oficera za los i morale wziętych wraz z nim do niewoli ludzi.

Głównym bohaterem nie jest tutaj „gwiazda” tego filmu przystojny Amerykanin, grający Sliars (William Holden), dekujący się najpierw w obozowym szpitalu, a potem, gdy już został do tego zmuszony, wykazujący się niezwykłą żołnierską odwagą, ale podstarzały trochę zabawny w swej niezłomnej „wierności zasadom” oraz paragrafom regulaminu, pułkownik Nicholson (Alec Guinness). To jednak właśnie Nicholson ze swymi śmiesznymi zasadami, ze swoją „tępą” nieustępliwością wobec okrutnego japońskiego komendanta obozu, pułkownika Salto, urasta do wymiaru symbolu, odnosi zwycięstwo. Potrafi zdominować swego prześladowcę, a swych ludzi wyrwać z marazmu, otępienia, natchnąć ich znów chęcią życia i wolą przetrwania. Mają „z własnej woli” a nie - przymuszeni przez Japończyków, zbudować most, który będzie ich chlubą. I także - pomnikiem ich niezniszczalności wobec przyszłych pokoleń.

Tak pomyślany wątek pułkownika Nicholsona nie wykraczałby jednak poza pewien, właściwy dla wielu podobnych filmów „wojenno-obozowych” schemat. David Lean idzie jednak znacznie dalej: w pewnym momencie Nicholson jakby wyabstrahował się z otaczającej go wojenno-jenieckiej rzeczywistości. Jakby nie było toczącej się wokół wojny. Jakby mniejszy problem stanowiła już dla niego troska o zdrowie i morale pracujących przy moście żołnierzy. Istnieje tylko most! Dzieło jego życia, zwieńczające lata kariery wojskowej. I jest to także: pomnik trwałości i niezłomności Brytyjskiego Imperium!

Dlatego właśnie, odkrywszy, że most ma wylecieć w powietrze, pułkownik Nicholson rzuci się na brytyjskiego komandosa mającego przekreślić dźwignię zapalnika JEGO i jego ludzi most - nie może ulec zniszczeniu!

Ale nic już nie zatrzyma nadciągającej Apokalipsy: most wylatuje w powietrze: giną budowniczy i dywersanci, zwycięzcy i zwyciężeni; rozsypują się w proch szczytne idee; wala się w gruzy pomniki ludzkiego wysiłku i pomniki ludzkiego ducha. A znad tego chaosu, poprzez ścianę dymu i ognia, płynie nad trupami poległych Anglików i Japończyków tragiczne wołanie brytyjskiego lekarza obozowego: „Szaleństwo, szaleństwo!!!”. Szaleństwo wojny.

I właśnie ta wymowa filmu, ten ponury finał „przygodowo-wojennej” superprodukcji stanowi o nieprzemijalności i świeżości „Mostu na rzece Kwai”.

Pierwodruk: „Kamena”, 1988, nr 10, s. 12.